

Kto pierwszy na świecie powinien wnieść symboliczny toast w noc sylwestrową i zobaczyć świt

Gdzie rodzi się Nowy Dzień

Kiedy w 1522 roku załoga „Victorii”, jedynej statku z wyprawy Magellana, po opłynięciu kuli ziemskiej z zachodu na wschód dotarła na Wyspy Zielonego Przylądka o jeden dzień później, nikt – mimo skrupulatnie prowadzonego dziennika pokładowego – nie potrafił tego wyjaśnić. Podobnie zaskoczony był słynny angielski korsarz Francis Drake, który kończąc rejs dookoła świata w niedzielę 26 września 1580 roku, dowiedział się, że jest już poniedziałek 27 września. Na tożsamy fenomen natknął się także Fileas Fogg, bohater książki Juliusza Verne’a.

Podobne historie nie wywołują dzisiaj żadnego zdezorientowania, bo już w 1884 roku wyklarowała to Międzynarodowa Konferencja w Waszyngtonie, na której przedstawiciele większości gospodarczo rozwiniętych państw świata porozumieli się, że początkowym południkiem dla obliczeń długości geograficznej i czasu na Ziemi będzie przechodzący przez Królewskie Obserwatorium Astronomiczne w Greenwich południk zerowy, rozdzielający planetę na część wschodnią oraz zachodnią. Wtedy też pojawiła się linia zmiany daty, wyimaginowana linia, która w dużym uproszczeniu ciągnie się wzdłuż 180 południka, nie licząc kilku odchyłek mających na celu uniknięcie rozdzielenia na dwa różne dni Alaski czy Syberii. Wyznacza ona umowną granicę pomiędzy dniem wczorajszym i jutrzejszym. Po jej przekroczeniu ze wschodu na zachód, czyli niejako „goniąc” zachodzące słońce – opuszcza się jeden dzień w kalendarzu. Swego czasu wyleciałem samolotem z Alaski na Kamczatkę w sobotę wieczorem i po kilku godzinach byłem na miejscu, stwierdzając, że zgubiła mi

się niedziela, bo tam był już poniedziałek rano. Jeśli podróżuje się w kierunku odwrotnym, powtarza się dwa razy tę samą datę. Pamiętam, jak dużym przeżyciem okazał się dla mnie transpacyficzny rejs z Tokio do Nowego Jorku. Wyruszyłem we wtorek o 14.00, a przybyłem do celu w poniedziałek o 13.00.

Zjazd w Waszyngtonie wyznaczył także 24 strefy czasowe, 15 stopni każda. Oznacza to, że co jeden stopień długości geograficznej czas słoneczny zmienia się o 4 minuty. Gdy w Polsce jest godzina 12.00, w Londynie jest dopiero godzina 11.00, a w Ukrainie już 13.00. Jeśli samolot z Moskwy do Warszawy startuje o 18.40, to i ląduje o tej samej godzinie, bo w ciągu dwóch godzin lotu pokonuje dwie strefy czasowe. W państwach o bardzo dużej powierzchni, takich jak Stany Zjednoczone, Kanada czy Rosja, obowiązują kilka stref czasowych, chociaż Chiny pozostawiły u siebie tylko jedną, pomimo że kraj rozciąga się na długości 5700 km.

Podobno jako pierwsi świętowali Nowy Rok mieszkańcy starożytnej Mezopotamii – 4000 lat temu. Od tamtej pory niemal każdy kraj wypracował swoje własne niepowtarzalne zwyczaje związane z tym faktem. Przełomowy okazał się dopiero rok 1563, kiedy król Francji Karol IX zdecydował się wyznaczyć w kalendarzu początek nowego roku na dzień pierwszego stycznia. Sto lat później podjął to car Piotr I, aby bardziej zeuropelizować Rosję. W dalszej kolejności to samo zrobili Anglicy i Polacy, którzy o północy składali sobie wzajemnie życzenia dostatku, zdrowia i wszelkiej szczęśliwości. Sukcesywnie zwyczaj zabawy w ostatni wieczór grudnia spopularyzowała arystokracja, a za nią bogate mieszczaństwo francuskie.

Niektóre kultury i religie celebrują dodatkowo początek roku w inne dni niż 1 stycznia. Wyznawcy prawosławia postępujący się kalendarzem juliańskim robią to 14 stycznia. Chiński Nowy Rok ucztowany jest oficjalnie przez miesiąc rozpoczynający się pod koniec stycznia lub na początku lutego. Wielorakie kultury azjatyckie fetują ten dzień zgodnie z lokalnym kalendarzem księżycowo-słonecznym.

Party wszech czasów

W 1999 roku świat szykował się na party wszech czasów, aby uroczystie obchodzić Nowy Rok, Nowy Wiek i Nowe Tysiąclecie. To tak silnie działało na naszą wyobraźnię, że byliśmy skłonni wiązać ten stan rzeczy z magiczną formułą otwierającą nową erę. Spierano się, kto i gdzie na naszym globie przywita ten moment jako pierwszy. Wiadomo było, że to musi być miejsce najbardziej oddalone na wschód od Greenwich, a jednocześnie najbliższej linii zmiany daty – po jej zachodniej stronie. Media umiejętnie podnosiły temperaturę przygotowań, aby świat mógł przeżyć ekscytujące wydarzenie. Globalny prymat był zbyt wielką pokusą, by tego nie wykorzystać. Roszczenie o pierwszeństwo zasignalizowało wówczas położone w sercu Polinezji maleńkie Królestwo Tonga, 170 małych koralowych wysp z białymi plażami. Niezalanie jeszcze falą konsumpcjonizmu i masowej turystyki, dumnie reklamujące się jako „Kraj, gdzie zaczyna się czas”, przesunęło przebiegłe strefę czasową, co przełożyło się na bezpłatną reklamę w światowych mediach. To samo zrobiła Samoa. Wpisem do publikacji Guinnessa mamity także położone na Pacyfiku wyspy Kiribati, które z komercyjną operatywnością, już kilka lat wcześniej przesunęły o 3 tysiące kilometrów na wschód granicę nowego dnia. „Mamy wyjątkową szansę, której nie możemy zmarnować. Być może już nigdy więcej świat o nas nie usłyszy” – tłumaczyli rządzący tym krajem. Tam też pewne polskie biuro podróży zapewniało swoim klientom spędzenie noworocznej imprezy. Dokładniej biorąc, w brzmiającej familiarnie osadzie Poland na Kiritimatī, największej wyspie Kiribati.

Jeszcze ciekawostka dla łowców rekordów. Biuro podróży Fly4Free zapowiadało swego czasu dwukrotną szampańską zabawę, toasty i życzenia o północy. Mianowicie spędzenie sylwestra w Sydney i obejrzenie jednego z najbardziej spektakularnych pokazów fajerwerków na tle tamtejszej słynnej Opery. Potem, o pierwszej w nocy należało wsiąść do odrzutowca kierującego się na wschód, do Honolulu na Hawajach, aby „odczytać” kilkanaście godzin. Dolatuje się

tam po 9 godzinach i 40 minutach lotu, czyli 31 grudnia o godzinie 14.40. Drugi raz w ciągu ostatniej doby pozostaje zatem rozpocząć przygotowania do sylwestrowego szaleństwa. Cenowo bezkonkurencyjna jest inna destynacja. Można wybrać się do norweskiego Tromsø, stamtąd samochodem do odległej o 270 km miejscowości Kaaresuanto w północnej części Finlandii, na granicy ze Szwecją. Tam o północy można rozpocząć sylwestrowy event, a po złożeniu życzeń przejść przez most, aby w szwedzkiej osadzie Karesuando jeszcze przez 40 minut radować się starym rokiem.

Symboliczne „kosmetyki” wysp Oceanu Spokojnego, różniące się od ustaleń konwencji waszyngtońskiej z 1884 roku, nie przekonywały jednak geografów, którzy początek dnia upatrywali na istnym „końcu świata” – pośród zagubionych lodów Cieśniny Beringa.

Latem 1999 roku, na kilka miesięcy przed powitaniem trzeciego milenium, mediolańska redakcja „Sette”, ilustrowanego suplementu „Corriere della Sera”, z którą byłem od lat związany, postanowiła tam mnie wysłać. Dzięki moskiewskim koneksjom i patronatowi samego Edwarda Szewardnadze zdobyłem zgodę na odwiedzenie tajemniczej wysepki, którą Rosjanie zwą Ratmanowa. Wprawdzie została odkryta ponad trzy wieki temu, ale zapomniana przez Moskwę i Boga wciąż stanowi dla świata białą plamę. „To tak jak wygrać w totolotka, bo praktycznie nikomu wcześniej nie udało się tam dostać”, odnotował tygodnik „Itogi”.

Moja podróż z Moskwy do Anadyru trwa 11 godzin, ale okaże się, że trzeba też liczyć na pomyślny obrót spraw, aby osiągnąć strażnicę „off limits”, na najdalszych rubieżach tego kraju. Czukocki Okręg Autonomiczny, niegdyś miejsce zsyłki, przeżywa renesans gospodarczy dzięki bogatym złożom metali szlachetnych opanowanych przez oligarchów. Arktyczny półwysep stał się w pewnym sensie państwem w państwie, istnym udzielnym księstwem. Zwykły Rosjanin może się tu dostać tylko na podstawie specjalnej przepustki, o szansach cudzoziemcom nie ma co mówić. Razem ze mną przyjechała tutaj japońska ekipa telewizyjna, którą odprawiono stamtąd tym samym samolotem. Brakowało im czegoś w papierach, a mnie przepuszczono po długich namysłach. Ale okazało się, że muszę wnieść opłatę tysiąca dolarów za pobyt w jakimś enigmatycznym parku przyrody „Beringia”.

Tradycyjnie kapryśna aura nie ułatwia tutaj podróżowania, a wysokie koszty trzeba pokryć także za długoczasowe postoje śmigłowca. „Taka pogoda pod koniec sierpnia to tutaj normalność; potrafi zmienić się kilka razy w ciągu jednej



Rys. Tomasz Wilczkiewicz

godziny”, uspakają mnie Sierioża, lotniskowy mechanik. Trzeciego dnia wylatują do Ławrientija, bazy wielorybniczej zamieszkałej przez Czukczów. Jednakże nieprzenikniona mgła nakazuje wylądować w Prowidienija, co zmusza do biwakowania na zaimprovizowanym lotnisku. Nieoczekiwanie pojawia się dwóch panów z FSB, Federalnej Służby Bezpieczeństwa, aby sprawdzić, czy mam odpowiednie przyzwolenie. Kiedy pokazuję list żelazny na blankiecie dowódcy Wojsk Granicznych Federacji Rosyjskiej, oznajmiają, że to wątpliwy dokument, bo brak jest na nim pieczęci i ten papier mogą wykorzystać tylko w... toalecie. Potrzeba było całej doby, aby połączyć się moim telefonem satelitarnym z Moskwą, gdzie zapewniono, że pismo jest właściwe, bo posiada wyfoczoną herb. Mimo wszystko zostanie wysłana informacja do sztabu w Pietropawłowsku Kamczackim. Potwierdzenie dotarło po 48 godzinach, podczas gdy w każdej chwili zanosilo się na aresztowanie.

Lecimy nad dzikim pustkowiem w stronę Przylądka Dieżniewa, najdalej na wschód wysuniętego skrawka Azji. Nad nami pułap ciężkich kłębiastych chmur, po prawej stronie ciemne wody Cieśniny Beringa, a z lewej – tundra i górzyste stoki. Wkrótce osiągnąmy słynny przylądek, skalisty masyw z dobrze widocznym białym obeliskiem z popiersiem kozackiego eksploratora. Stąd pilot bierze kurs 120° – z niebieskich wód cieśniny wyłania się oświetlony przebiegającym się przez cumulusy promieniami słonecznymi wysoki na kilkaset metrów potężny masyw zagadkowej wyspy. Leży 40 km od kontynentalnej części Rosji i tyle samo od Alaski. Po niespełna pół godziny lotu podwozie transportowego helikoptera Mi-8 dotyka skalistej powierzchni.

Wyspa o długości 8 i szerokości 4,5 kilometra robi wrażenie dziewiczej, nigdy niezamieszkałej przez człowieka. Miejscami, tam gdzie występuje wątra warstwa gleby, widoczne są porosty i mchy. Do 1947 roku żyli tu jednak Eskimosi, którzy zostali przesiedleni na „matierik”, czyli kontynent. Na ich miejsce pojawił się trzydziestoosobowy oddział straży granicznej, którego zadaniem jest „przeciwdziałanie nielegalnej migracji”. „Najczęstszymi sprawcami naruszenia granicy okazują się niedźwiedzie polarne – precyzuje Wasilij. – Raz nawet trzeba było w obrobie własnej zastrzelić agresywne zwierzę”. Kroniki z dawnych lat wspominają o kilkudziesięciu przypadkach przewinień alaskańskich autochtonów zapuszczających się tu na połów morsów.

Z zachodniego brzegu można dostrzec wzrokiem odległą o 4 kilometry wysepkę Mała Diomedea, która należy do Stanów Zjednoczonych. Przez lornetkę widać jak na dłoni niepozorną osadę Ingaluk, zamieszkaną przez kilkadziesiąt eskimoskich rodzin i skupiającą kolorowe domki, szkołę, sklep i kościółek katolicki. Często pojawiają się tam hydroplany, łodzie

motorowe i helikoptery dostarczające środki egzystencji.

Rosyjscy pogranicznicy pierwsi ujrzą świt Nowego Roku

Kiedy patrol rosyjskiej formacji ochronnej granic w poniedziałkowy rano udaje się na obchód, wspólnota na bliźniaczej wyspie szykuje się dopiero do niedzielnych modłów. Wojskowi „widzą” gołym okiem poprzedni dzień, zaś ich sąsiedzi – dzień następny i ludzi żyjących już w przyszłości. Między Wielką Diomedą (169°00'39" długości geograficznej wschodniej) i jej kuzynką przebiega odległa o 2 kilometry linia zmiany daty. „Gdyby rozważać ją według tradycyjnego konceptu – twierdzą brytyjscy naukowcy z Obserwatorium Astronomicznego w Londynie – to każdy nowy dzień naszej Ziemi rodziłby się właśnie tutaj, i to rosyjscy żołnierze jako pierwsi na świecie dostąpiliby zaszczytu wzniesienia symbolicznego toastu sylwestrowego i bycia pierwszymi, którzy ujrzą świt Nowego Roku”. Najdłużej „starym rokiem” cieszą się mieszkańcy wysepki Attu w Archipelagu Aleuckim, gdzie uskoki linii zmiany daty sięga 172 południka. W konsekwencji dzień opóźnia się tam o 25 godzin i 16 minut.

Mój przyjazd jest niebłahym wydarzeniem dla złaknionych kontaktu i informacji pograniczników całkowicie odciętych od świata. Kryzys ekonomiczny kraju odbił się wyraźnie także w armii. Kiedyś był zapewniony regularny kontakt ze stałym łodem, a obecnie śmigłowiec z zaopatrzeniem i pocztą przylatuje tylko sporadycznie. „Żywność jest podła – skarży się Giennadij. – Posiłki składają się zwykle ze sproszkowanych ziemniaków, kaszy, suszonej ryby i konserw. Stonina jest delikatesem. Latem naszą dietę wzbogacamy o roślinność zebraną w tundrze albo o grzyby czy jajka znalezione w gniazdach ptaków”, uzupełnia. Niebezpiecznie jest też chorować. Kilka lat temu wezwano lekarza do chorego na wyrostek

robaczkowy. Kiedy z powodu mgły pilot nie mógł wylądować, dowódca zwrócił się do amerykańskiej Gwardii Brzegowej, która przetransportowała nieszczęśnika do swojego szpitala. Fakt ten ujrzał światło dzienne dopiero wtedy, gdy do Moskwy dotarł rachunek opiewający na 5 tysięcy dolarów.

Rosyjskie Guantanamo

Bardzo negatywnie na postawy i nastroje wojskowych wpłynęła nadludzka pruska dyscyplina wprowadzona przez dowódcę, porucznika Aleksandra Szczerbakowa. Jak donosiła kilka miesięcy przed moim przybyciem gazeta „Czerwona Gwiazda”, organ ministerstwa obrony narodowej, komendant, wsparty przez trzech podoficerów, zamienił jednostkę w amerykańską bazę wojskową Guantanamo na Kubie, znaną z tortur w stosunku do islamskich ekstremistów. Za najdrobniejsze błędy czy uchybienia wcielali niezgodne z prawem sposoby karania szeregowców. Zaczął od wprowadzania niemalże głodowej diety, aby wyrównać „powstały nie z jego winy duży niedobór produktów”. Potem doszła kara represyjna – zakaz posiłku przez 24 godziny. Zwierzchnik nie stronił od torturowania, pastwił się elektroszokiem, potrafił przez godzinę zostawić na mrozie na pół rozebranego żołnierza, a bywało, że bił kablem po piętach, podwieszał za ręce do sufitu i okładał go niczym worek bokserki. O tej historii nikt by się prawdopodobnie nie dowiedział, gdyby nie śmierć jednej z ofiar. W sądzie oskarżony tylko częściowo przyznał się do winy, wyjaśniając sadyistyczne podejście koniecznością „przywrócenia posłuchu na placówce”. Sąd wojskowy skazał go na 15 lat pozbawienia wolności, a trzech pozostałych na jeszcze cięższe wyroki.

Garnizon robi na przyjeźdźnym przygnębiające wrażenie. Budynek koszarowy nosi ślady pożaru i jest w opłakanym stanie. Wokół mnóstwo walającego się żelastwa i zardzewiałych beczek po paliwie. Ciepła

woda jest luksusem, a środowisko jest trudne z powodu długotrwałej izolacji i jednostajności otoczenia. Czas wolny można wypełnić w świetlicy, oglądając zwykłe kiepski obraz moskiewskiej telewizji, zobaczyć kasety z filmami, pograć w ping-ponga lub poćwiczyć w zaimprovizowanej siłowni. Od czasu do czasu, kiedy uda się wyłowić z morza jakieś pnienie drzew, rozpalają tradycyjną banię, parową łaźnię, będącą świętością Rosjan.

Przez 300 dni w roku wyspa jest spowita zgęszczoną mgłą. W grudniu słońce pojawia się tylko na 3 godziny – dają się wtedy we znaki siarczyste mrozy i hulające śnieżne sztormy. Na wiele miesięcy placówka zostaje zasypana śniegiem i trzeba kopać labirynt korytarzy łączących poszczególne obiekty. Podczas polarnego lata słońce dla odmiany nie zachodzi wcale, przy czym nie dają wytchnienia dokuczliwe komary, których, jak mówią zoolodzy, bywa nawet trzy kwintale na jeden hektar powierzchni. Dają się we znaki skrajnie nieprzyjemne warunki życia. Kilka lat temu jeden z żołnierzy zabłądził we mgle i osunął się do morza. Jego ciało znaleziono tydzień później nieopodal siedliska morsów. W 1996 roku rozbił się we mgle helikopter i zginęło pięć osób. Giennadij, który teoretycznie zakończył swoją służbę już dwa miesiące temu, zabierze się w rodzinne progi, korzystając z mojego środka lokomocji. Powodów do frustracji nie brakuje. „To koszmar. Odbiera radość życia, a do domu w Moskwie prawie 8 tysięcy kilometrów”, zauważa markotnie Leonid.

Moje myśli ulatują gdzieś na wyspy odległego Pacyfiku, wspominam malownicze widoki, dziewicze plaże, lazur oceanu, zachwycające rafy koralowe z bogatą fauną. I wcale się nie dziwię, że świat woli właśnie tam obchodzić noworoczną imprezę.

JACEK PAŁKIEWICZ

Autor jest członkiem rzeczywistym Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie